

DR. CZESŁAW ZNAMIEROWSKI

Profesor Uniwersytetu Poznańskiego

KILKA UWAG O PRAWIE ZABUDOWY

1. Wyjaśnienia wstępne.

Prawo zabudowy nie jest konstrukcją zawiłą, ani splątana nadmiernie z innymi. Przedstawia jednak pewien interes teoretyczny dlatego, że pozostaje z prawem własności w stosunku, który warto prześledzić i zanalizować dokładnie. W świetle tej analizy uplastycznia się zasady, wedle których należy poddawać dyssekcji instytucje prawa stanowionego. Właśnie na ustalenie tych zasad zwrócona będzie uwaga szczególna w tej pracy.

Rozbiór prawa zabudowy wymaga wyświetlenia paru pojęć ogólnych, które go upraszczają niezmiernie. Tym pojęciom poświęcamy część ogólną tej pracy.

CZĘŚĆ OGÓLNA

2. Treść ustawowa pojęć.

Zespoły dźwięków stają się nazwami, wyrazami, przez to, że im nadajemy znaczenia. Możemy nadawać te znaczenia mocą indywidualnej decyzji, gdy chodzi o system znaków, tworzony na własny, jednostkowy, użytek. Ta decyzja ma jako przeżycie psychiczne taki sam charakter, jaki ma ustanowienie wszelkiej reguły działania: jest to swoisty akt psychiczny, który nazywam *stanowieniem*. Decyzję tę można ująć dwojako w formę słowną. Po pierwsze, w formę deklaracji, że nazwy *N* używamy lub będziemy używać w takim a takim znaczeniu. Jest to deklaracja, wyraźnie dotycząca naszego postępowania, naszego, że tak powiem, manipulowania dźwiękami. Podrugie, można tę decyzję ująć w formę deklaracji, że w naszym rozumieniu nazwa „*N*” znaczy tyleż, co nazwa złożona, powiedzmy „*Ab*”. I ta druga deklaracja mówi o naszej decyzji, bo słowa „w naszym rozumieniu” są w niej ważnym i niezbędnym składnikiem. One dają tej deklaracji wyraźny punkt odniesienia: wskazują, w czyjem użyciu dany zespół dźwięków, dana nazwa, ma takie a takie znaczenie. Bez tych słów dekla-

racja taka jest niepełna, niedopowiedziana, podobnie jak niedopowiedziane jest zdanie: „Jan jest ojcem”, które wymaga uzupełnienia przez wskazanie, czym jest ojcem. Gdy nam mówią: „nazwa «N» ma takie a takie znaczenie”, musimy wyjaśniać zawsze, w czym użytku i w czym rozumieniu, mocą czyjej decyzji. Ale nawet w tem starannem sformułowaniu druga deklaracja wysuwa na pierwszy plan uwagi nie naszą decyzję, lecz nazwę, której dotyczy ta decyzja.

Taką deklarację nazywa logika *definicją nominalną*. W pedantycznie ścisłym wysłowieniu ma ona postać: „w rozumieniu osoby A «N» znaczy tyleż, co «BC»”. Zamiast wyrażenia „w rozumieniu” można użyć tu innego: „mocą stanowienia osoby A”. Ta forma definicji uwidocznia odrazu stanowiony jej charakter. Każdy sposób konsekwentnego używania terminu opiera się na stanowieniu. I każda nazwa ma pewną treść stanowiącą, właśnie tę, którą ustala i rozwija definicja.

Deklaracje, dotyczące sposobu używania nazw, mają różną doniosłość społeczną. Mogą być wyrazem prywatnej i małoważnej idiosynkrazji; ale mogą mieć znaczenie epokowe, gdy w umiejętny sposób przygotowują narzędzia myślowej konstrukcji. Tutaj interesują nas szczególnie te deklaracje, które składa *explicite* lub *implicite* normodawca, nadając pewne określone znaczenie terminom, którymi się posługuje w wysłowieniu norm, jakie ustanawia. Nazywamy je *definicjami ustawowymi*. Powstaje pytanie, czy cała treść ustawowa jest objęta treścią definicji ustawowej.

Znaczenie nadać terminowi można zapomocą stosunkowo zwięzłych wyrażen; technika myślenia i mówienia nakazuje, by wyrażenia te były rzeczywiście zwięzłe. Aby zdefiniować nazwę „trójkąt równoramienny”, wystarczy powiedzieć: „w naszym rozumieniu «trójkąt ramienny» to tyleż, co «trójkąt o dwóch bokach równych»”. „Trójkąt o dwóch bokach równych”, to cała treść stanowiona, jaką wkładamy w termin „trójkąt równoramienny”. Rozważanie trójkątów równoramiennych odkrywa nam cały szereg ich własności swoistych, które przysługują im z konieczności, jako trójkątom o dwóch bokach równych. Ale te własności nie wchodzą do definicji i nie składają się na treść stanowioną nazwy „trójkąt równoramienny”. Inaczej się rzecz ma z terminami, definiowanymi ustawowo.

Niechaj przykładem ilustracyjnym będzie termin „prawo zabudowy” według niemieckiego Rozporządzenia z dnia 5. I. 1919. Jest tam pewien zwrot, który uważać można za definicję nazwy „prawo zabudowy”.

„Grunt można w ten sposób obciążyć, iż temu, na czyją korzyść nastąpiło obciążenie, przysługuje podlegające zbyciu i dziedziczne prawo utrzymywania budynku na powierzchni lub pod powierzchnią gruntu”, — powiada normodawca niemiecki, i bezpośrednio dodaje w nawiasie: „prawo zabudowy”. Ten nawias, w którym wprowadzony zostaje termin techniczny, świadczy, że przytoczony zwrot ma, w rozumieniu normodawcy, być definicją terminu.

W definicji tej, którą łatwo uprościć i skrócić, można odrazu uchwycić to, co logika tradycyjna nazywa *genus proximum*. Jest nim „prawo utrzymywania budynku na powierzchni lub pod powierzchnią gruntu”. Idąc za wycuciem językowym potocznym, możnaby chcieć nawet utożsamiać prawo zabudowy z prawem do utrzymywania budynku na cudzym gruncie. Ale normodawca nie idzie za tem wycuciem, jeno stanowi, że prawo to musi być zbywalne i dziedziczne. Tem samem „prawo do budynku na gruncie” staje się *genus proximum* prawa zabudowy. A definicją prawa zabudowy jest dopiero zwrot, który mówi, że jest to prawo do budynku na gruncie, zbywalne i dziedziczne.

Ten zwrot, krótki i zwięzły, jest tu, w należytem sformułowaniu szczegółowem, definicją ustawową nazwy „prawo zabudowy”. Ale nie można tu utożsamiać treści, objętej definicją, z całą treścią stanowioną tej nazwy, jaka zostaje rozwinięta w zespole norm, tworzących instytucję prawa zabudowy. Treść stanowiona tej nazwy jest szersza, niż treść, objęta definicją.

Gdy przyjmujemy mocą definicji, że trójkąt równoramienny jest trójkątem o równych dwóch bokach, nie obejmujemy naszym stanowieniem żadnej innej cechy, poza równością dwóch boków. Z tej cechy wypływa w sposób konieczny wiele cech innych; lecz dzieje się to już nie z naszej swobodnej decyzji terminologicznej. Natomiast cechy, przypisane przez normodawcę niemieckiego prawu zabudowy, nie wynikają z ustalonej przez niego definicji, lecz wiążą się z nią mocą dalszej decyzji woli tegoż normodawcy.

Oto, na przykład, mówi dalszy ciąg tegoż samego artykułu, że prawo zabudowy jest niedopuszczalne na części budynku. Ta cecha nie wynika z definicji prawa zabudowy tak, jak wynika, powiedzmy, własność dwusiecznej z definicji trójkąta równoramiennego. Można zupełnie dobrze pomyśleć sobie, że prawo zabudowy będzie dotyczyło części budynku. Normodawca wyklucza tę możliwość, nie zaś konieczność logiczną; i wyklucza, oczywiście, mocą decyzji swej woli, która uzupełnia i rozwija decyzję, dotyczącą definicji.

Takich cech, przypisanych prawu zabudowy przez normodawcę, wskazać można bardzo wiele poza samą definicją i poza paragrafem, który według swego tytułu, ma mieścić treść ustawową terminu „prawo zabudowy”. Każdy niemal przepis, ustalający jakiś rys tej instytucji, zwiększa treść stanowioną terminu „prawo zabudowy”. I nawet pod nagłówkiem „treść umowna” znajdujemy cechy, przypisane w sposób stanowczy przez normodawcę instytucji, przez niego tworzonej. To, na przykład, że można się umówić, iż w pewnych warunkach prawo zabudowy powraca do właściciela, jest cechą, którą normodawca związał z prawem zabudowy bez konieczności logicznej, lecz jedynie mocą swej woli: wszak prawo to mogłoby być równie dobrze trwale i niepowracalnie oddzielone od własności.

Cała tedy ustawa, tworząca instytucję, nie zaś tylko przepisy pod nagłówkiem „treść ustawowa”, kształtuje cechy prawa zabudowy. To też trzeba uznać ogólnie, że treść ustawowa obejmuje wszystkie te cechy instytucji prawnej, które, niezwiązane pomiędzy sobą koniecznością logiczną, zostały nadane tej instytucji wola normodawcy jako jej nieodzowne, nie podlegające zmianie właściwości. Stąd dla każdej instytucji szukać trzeba treści ustawowej na obszarze całego dokumentu normodawczego, który jest podstawą jej istnienia; co więcej nawet, na obszarze całego układu prawnego, w którego skład wchodzi ten dokument.

Tak więc treść ustawowa nabrzmiewa niezmiernie i daleko wykracza poza związną treść definicji. I, co jest rzeczą niezmiernie ważną, cała treść ustawowa terminu, oznaczającego konstruowaną instytucję, bynajmniej nie wynika z treści definicji.

Ścisłe rzecz biorąc, definicja ustawowa nie jest definicją instytucji w całym jej konkretnym ukształtowaniu, jakie otrzymuje w danym układzie prawnym, lecz jedynie podaje *genus proximum*. W schemacie rzecz przedstawia się, jak następuje. Definicja wyznacza, że N to tyleż, co Ab , gdzie już związek pomiędzy A i b jest ustanowiony, a nie logicznie konieczny. Dalsze przepisy ustawy wyznaczają, że N musi ponadto koniecznie posiadać cechy c , d i t. d., które z Ab nie wypływają logicznie. N , posiadające cechę c , jest gatunkiem w stosunku do N poprostu. N , posiadające cechy c i d , jest z kolei gatunkiem w stopniu do N , które posiada c , a tembardziej w stosunku do N poprostu. Definicja, która przedstawia treść nazwy A' , daje tylko nazwę rodzajową w stosunku do tej nazwy, która mocą całokształtu determinujących przepisów obejmuje długi szereg cech, któreśmy rozpoczęli symbolami c , d itd.

Definicja ustawowa jest więc właściwie definicją całego rodzaju instytucyj, nie zaś tego gatunku, który mocą ustawy wchodzi w skład danego ładu prawnego. Fakt ten uchodzi jednak zazwyczaj naszej uwadze. Dzieje się tak wskutek tego, że w obrębie danego układu norm i wyznaczonego przez nie ładu prawnego istnieje mocą stanowionej konstrukcji jeden tylko gatunek danego rodzaju instytucyj. A przez to, co należy do rodzaju, to należy w danym układzie do gatunku, i odwrotnie. Stąd definicja rodzaju jest tu skrótowym środkiem rozpoznawczym jedynego gatunku: innego gatunku w granicach danego układu prawnego niema właśnie.

3. Niedorzeczność w prawie.

Analiza prawa zabudowy przedstawia pewien interes teoretyczny z tej racji między innymi, że wymaga jasnego ujęcia sprawy pojęć i konstrukcyj prawnych, wyraźnie niedorzecznych.

Nie miejsce tu na szczegółowe rozważanie zagadnienia niedorzeczności: ograniczymy tedy roztrząsanie tej sprawy do minimum, niezbędnego do ustalenia pewnych dyrektyw dla analizy prawa zabudowy i szeregu praw podobnych.

Gdy mówię, że okładka tej książki jest niebieska, a przy świetle okazuje się, iż jest zielona, to jest jasne, że się pomyliłem, że popełniłem błąd. Nie powiedziałem jednak czegoś, coby można było nazwać nonsensem: bywają wszak niebieskie oprawy książek. Synteza, stworzona w moim sądzie, pomiędzy okładką a barwą niebieską, da się bez sprzeczności i bez pogwałcenia jakichkolwiek praw bytu pomyśleć. Barwność leży w naturze rzeczy wypełniających przestrzeń, a okładka jest rzeczą przestrzenną.

Gdybym natomiast powiedział, że okładka mojej książki jest cnotliwa, to popełniłbym nietylko błąd, ale i niedorzeczność. Nietylko nie jest prawdą, że dana okładka jest cnotliwa; okładka, przedmiot martwy, w żadnym przypadku nie może być cnotliwa, bo tę cechę mogą posiadać tylko istoty, mające świadomość. Synteza myślowa, którą próbowałem stworzyć, nie da się zrealizować nawet w myśli samej: nie mogę sobie nawet przedstawić takiego przedmiotu, który byłby cnotliwą okładką. Tem bardziej zaś nie mogę nigdzie znaleźć rzeczy, która byłaby cnotliwą okładką. Próbowałem tu połączyć cechy, mocą praw struktury świata nigdy nie wiążące się w jedno: stąd sąd mój nosi piętno już nie błędu, lecz niedorzeczności.

We wszystkich dziedzinach życia unikamy i strzeżemy się niedorzeczności. Popełniając ją, nietylko odgradzamy się od rzeczywistości, lecz, co więcej, narażamy się na śmieszność: wychodzi bowiem wówczas na jaw, że nie znamy elementarnych praw struktury świata.

Tylko w jednej dziedzinie ludzie najwidoczniej nie boją się niedorzeczności: w prawie i w prawoznawstwie. Tylko w tej, wielokroć wyjątkowej, dziedzinie niedorzeczność nie obleka się pełnym winy poczuciem zażenowania, lecz szuka marmuru i bronzu dla uwiecznienia swej dezinwoltury. Niedorzeczność praktykują ustawodawcy, zapewne jako próbę swojej siły, która jest przed wszelkiem prawem; z zachłystem zachwytu podążają za nimi: komentatorzy, interpretatorzy, prawoznawcy.

Szczególłą odwagą pod tym względem odznacza się ustawodawca niemiecki. Oto, na przykład, w części ogólnej Kodeksu Cywilnego deklaruje normodawca bez żadnej wątpliwości: „prawa, połączone z własnością gruntu, uważa się za części składowe gruntu” *). Prawa, raczej uprawnienia, są sytuacjami, najwyraźniej i najbardziej oczywiście niematerialnymi. I taka już jest natura z jednej strony tego, co nazywamy gruntem, a z drugiej tego, co nazywamy uprawnieniem, że nie może sobie przedstawić najbujniejsza nawet fantazja, iżby uprawnienie było częścią gruntu, albo grunt częścią uprawnienia.

Trudno na pierwszy rzut oka uwierzyć, żeby kodeks, który nauka niemiecka z dumą wynosi ponad inne, jako wytwór ducha filozoficznego, mógł zawierać niedorzeczność tak oczywistą, podniesioną do godności przepisu ustawowego. Powstaje myśl, że normodawca tylko przez niestaranność użył słowa „grunt” zamiast zwrotu „prawo własności na gruncie”. Wszak przytoczony zwrot można nadzwyczaj łatwo przekształcić w zdanie sensowne i zrozumiałe. Brzmiałyby on w takim przekształceniu: „prawa, połączone z własnością gruntu, uważa się za część składową tego prawa własności”. Teraz powiązane byłyby rzeczy jednorodne: prawo własności z innymi prawami, jedna sytuacja prawna z innymi sytuacjami prawnymi. A sytuacje prawne są właśnie takimi przedmiotami, które mogą się łączyć w całości złożone wyższego rzędu.

Lecz tak życzliwej transformacji interpretacyjnej stawia zdecydowany opór sam normodawca niemiecki. W artykule 11-tym Rozporządzenia, które tworzy właśnie instytucję zabudowy, powiada wyraźnie, że do prawa zabudowy stosują się przepisy, odnoszące się do gruntu. Gdyby normodawca Rozporządzenia uważał zwrot w § 96 K. C. prosto za nieściśły, powiedziełby tu mógł z łatwością: „do prawa zabudowy stosują się przepisy, odnoszące się do prawa własności na gruncie”. W tem sformułowaniu, po wstawieniu tych paru słów uzupełniających, widoczneby już było, że normodawca stawia pod pewnym względem narówni prawo zabu-

*) § 96.

dowy i prawo własności na gruncie. To, oczywiście, nie byłoby wyrazem utożsamiania natury tych praw, ani, tem bardziej, natury prawa zabudowy i gruntu, co już jest jasnym nonsensem. Zmodyfikowany w ten sposób § 11 mówiłby poprostu, że przepisy, dotyczące prawa własności, należy stosować do prawa zabudowy. Albo jeszcze prościej, i już zupełnie formalnie: że przepisy, dotyczące prawa zabudowy, należy tworzyć z przepisów, dotyczących prawa własności na gruncie, przez proste podstawienie słów „prawo zabudowy” na miejsce słów „prawo własności na gruncie”.

Ale normodawca niemiecki nie zna bojaźni przed niedorzecznością i najwidoczniej nie chce odzierać swych nakazów prawnych z uroku metafizycznej głębi, a tem bardziej nie chce uciekać się do takich prostych i trywialnych chwytów logiczno-stylistycznych, jak rozwinięty przed chwilą. Normodawca niemiecki, przeciwnie, z niewątpliwą odwagą idzie na spotkanie niedorzeczności. Niedość, że z uprawnienia czyni część gruntu; to znaczy: z rzeczy niematerialnej część rzeczy materialnej. I w odwrotnym kierunku chce naruszyć i zachwiać strukturę świata. Z budynku chce uczynić część prawa: z rzeczy materialnej część składową niematerialnego stosunku. Mówi tedy wyraźnie w § 12 Rozporządzenia: „budynek, wzniesiony na podstawie prawa zabudowy, uważa się za istotną część składową prawa zabudowy”.

Tu znowu nietrudno było uniknąć niedorzeczności przez drobne uzupełnienie zwrotu. Nie roniąc nic z intencji normodawcy» można wszak było powiedzieć: „prawo do budynku, wzniesionego na podstawie prawa zabudowy, uważa się za istotną część składową prawa zabudowy”. Ale w ten sposób rzecz stałaby się zbyt trzeźwa i wyzbyta z filozofji. Toteż normodawca powraca do swego pomieszania rzeczy materialnych z niematerialnymi jeszcze raz w trzecim ustępie § 12-go i mówi: „Jeśli prawo zabudowy zgaśnie, jego części składowe stają się częściami składowymi gruntu”.

Wobec tak niezłomnej decyzji normodawcy operowania nonsensem powstaje dla dogmatyka prawa doniosłe, podstawowe, zagadnienie: co ma począć z niedorzecznością, którą z uporem popełnia normodawca. Za kim ma iść dogmatyk: za literą ustawodawczej niedorzeczności, czy za oczywistymi prawami myśli i bytu?

Mnie się wydaje, że prawo mówienia niedorzeczności może należeć wyłącznie i tylko do ustawodawcy. Tam, gdzie stanowienia jego nie podlegają legalnej zmianie przez żaden czynnik nadrzędny, nie spotyka się z żadną represją jego odważna próba rozerwania więzów, jakimi krepują wolę człowieka prawa myśli i prawa bytu. Można wprawdzie mieć obawę, czy legalizmu obywatela wobec praw, ustanowionych przez zamiłowanego w nonsensie ustawodawcę, nie

zachwieje brak poszanowania dla praw bytu u samego ustawodawcy. Ale tu można znowu z dostatecznym prawdopodobieństwem liczyć na to, że nonsens dostrzegą co najwyżej sędziowie i obrońcy, a ci mają niejedną rację do tego, by poczuwać się do solidarności z ustawodawcą.

Ale dogmatyk w innym jest położeniu. Ma on zadanie badawcze, naukowe. Nauka zaś nie znosi sprzeczności i nonsensów. Spotkawszy w ustawie zdanie niedorzeczne, winien tedy dogmatyk starać się przede wszystkim o to, by przez trafny a życzliwy domysł przekształcić brzmienie normy w powiedzenie sensowne i z innymi normami niesprzeczne, zachowując jednocześnie jak najdokładniej intencję normodawcy. Wielokrotnie jest to rzecz możliwa, a nawet łatwa. Wystarczy poprostu samemu rozumieć jasno, co to jest niedorzeczność, i umieć poza nieudolnością wypowiedzi szukać rzeczywistego jej sensu. Tam zaś, gdzie żadna praktyka interpretacyjna nie może dać przepisu sensownego i z innymi normami niesprzecznego, musi dogmatyk odważnie odrzucać powiedzenie normodawcy, które stanęło w kolizji z prawami myśli lub bytu.

Takie wskazanie może się wydać na pierwszy rzut jaskrawo sprzeczne z zasadami, które są przyjęte i praktykowane we wszelkich dziedzinach orzecznictwa. Wszak pierwszym obowiązkiem tego, kto tworzy jakiegokolwiek orzeczenie prawne, jest posłusznie oprzeć się na obowiązujących przepisach prawa w całej ich rozciągłości. Tego wymaga legalność i bezpieczeństwo prawne.

Bliższe zastanowienie nie potwierdza pierwszego na rzecz wejścia. Prawda, że przypadki, w których dogmatyk musi odrzucić, jako bezsensowną, jakąś wypowiedź normodawcy, są bardzo rzadkie. Przeważnie rzecz się ma tak, jak z prawem zabudowy: wystarcza trafne i łatwe uzupełnienie tekstu normy. Atoli są takie przepisy, na które nic nie poradzi kunszt interpretatora. Oto przykład fikcyjny. Prawnicy lubią pewną obrazowość wystąpienia. Niechaj wiedziony tem upodobaniem normodawca powie na początku rozdziału, otwierającego księgę o prawie małżeńskim: żona jest żebrem męża swego. Będzie ta wypowiedź świadczyła niewątpliwie o lojalności normodawcy dla Pisma Świętego. Ale czyż będzie to zdanie, któreby miał włączyć do systemu prawa dogmatyk? — A zresztą, rzecz można poprzeć nie tylko przykładem fikcyjnym. Przykład zwrotu, który nie posiada sensu, daje § 26 Konstytucji Polskiej. Na końcu ustępu drugiego normodawca z 2-go sierpnia zostawił tam przez przeoczenie słowa: „bądź w uchwale Sejmu lub Senatu”. W kontekście nowej redakcji nie mają one żadnego znaczenia, niema bowiem takiej sytuacji, w której Sejm lub Senat mógłby powziąć uchwałę co do terminu wyborów. Jedyną rzeczą,

jaką tu może zrobić najbardziej nawet dla normodawcy lojalny interpretator, jest słowa przytoczone uważać za nieistniejące w ustawie.

Taka jest droga prawdy dla dogmatyka: prosta, jasno wytknięta, najkrótsza. Ale to, że jest to właśnie droga najkrótsza, komplikuje bardzo całą sprawę pod pewnym względem. Prawda jest mniej wydajna literacko, niż niedorzeczność. Wprowadzić krótką, sensowną poprawkę do niedorzecznego sformułowania normy, to znaczy: krótko zbyć sprawę i nie mieć tematu do pisania. Lojalność dla nonsensu normodawcy natomiast szerokie otwiera możliwości pisania. Ileż można napisać dysertacyj na temat tego, że żona jest żebrem męża. Otwiera się szerokie pole do badania wpływu ksiąg świętych na normodawcę; powstaje sporna sprawa anatomiczna, z którym żebrem należy utożsamiać żonę. Albo prawo zabudowy. Powiedzieć, korygując niestaranne wysłowienie normodawcy, że prawo zabudowy jest prawem do gruntu, to znaczy na prostej trywialności złamać natchnienie pióra. Założyć lojalnie dla litery prawa, że prawo zabudowy jest gruntem, i jakaż odrazu powstaje łatwość pisania. Roją się zagadnienia. Czy prawo zabudowy jest gruntem, czy niby-gruntem? Czy zabudowca ma prawo własności na niby-gruncie, czy też niby-ma niby-prawo własności na gruncie? Czy można mieć prawo zabudowy na niby-gruncie? I, co ważniejsze, jak na niby-gruncie budować, jak siać i sadzić rośliny. Na te pytania z pewnością można dać niejedną odpowiedź: na tym niby-gruncie ściśle się gościnnie szeroki ku sukcesom pisarskim.

4. Prawo rzeczowe.

Prawo zabudowy jest prawem rzeczowym. Najlepiej tedy przygotujemy jego analizę, rozważając ogólnie charakter praw rzeczowych.

Rdzeniem wszelkiego prawa rzeczowego, według tradycyjnie ustalonego rozumienia, jest bezpośrednie oddziaływanie na rzecz, która jest przedmiotem prawa. Gdzie *A* ma prawo rzeczowe, tam ma prawo jakiegoś oddziaływania na pewien określony przedmiot lub oddziaływania wielokrotnego. I odwrotnie, gdzie *A* ma prawo oddziaływania lub oddziaływania, tam ma prawo rzeczowe na danej rzeczy lub do danej rzeczy.

Dogmatyka nie przestrzega tej ścisłej konsekwencji w używaniu terminu „prawo rzeczowe”. Idąc za tradycją, często przypadkową i nielogiczną, czasem do praw rzeczowych zalicza sytuacje, wyraźnie obligatoryjne, czasem znowu pomiędzy prawa obligatoryjne stawia sytuacje, które wyraźnie są uprawnieniami rzeczowymi. Tem swoim pomieszaniem pojęć daje dowód tego, że gra-

nica pomiędzy prawem rzeczowym a obligatoryjnym nie musi być linią głębokiej, rodzajowej, przepaści. Ale daje też dowód tego, że nie posuwa zbyt daleko swej troski o ścisłość narzędzi logicznych, którymi operuje.

W rzeczywistości każda sytuacja człowieka w społeczności jest sprzężona z sytuacjami innych członków tej samej społeczności. Niema bowiem takiego działania, którego możliwość nie zależałaby od zachowania się innych osób. Nawet działania, zdawałoby się, tak intymne i wpływowi innych ludzi niedostępne, jak procesy umysłowe, są zależne od nich: ludzie ci nie mogą zakłócać spokoju, potrzebnego w myśleniu.

Mocą prawa sprzeczności to samo tworzywo nie może jednocześnie być przedmiotem dwóch działań niezgodnych. Jeżeli więc A ma otwarte działanie na rzecz R , to B musi mieć odjęte działanie, z tamtem kolidujące. Obojętne jest tu przytem, czy A ma otwartą możliwość działania na R w postaci uprawnienia, czy też obowiązku. I uprawnieniu, i obowiązkowi A , działania na R , musi odpowiadać obowiązek niekolidującego zachowania się, powściągu, po stronie B . Oczywiście, jeśli w rozważanej społeczności A ma nie jednego towarzysza B , lecz wielu towarzyszy B' ... B'' , to każdy z nich jednakowo zobowiązany jest do powściągu. B , A wówczas staje się ośrodkiem całego szeregu równojakościowych stosunków do każdego z członków społeczności z osobna. Sytuacja naszego A , wedle pozorów słownego jednolita i nie rozkładalna, okazuje się zespołem sytuacji elementarnych.

Każda poszczególna manipulacja rzeczą, każde jednorazowe choćby na nią oddziaływanie, może być uregulowane normą i może być przedmiotem samoistnego uprawnienia. Tak, zerwanie jednego pędu jakiejś rośliny lub jednorazowe przejście w poprzek łąki, może, wzięte z osobna, tworzyć treść całą jednego prawa rzeczowego. Takie jednorazowe działanie jest elementem całokształtu wszelkich możliwych oddziaływań na daną rzecz. Elementy te mogą wchodzić w różne, skomplikowane, sploty. Jedno prawo rzeczowe może obejmować wszelkie oddziaływania jednorodne na rzecz daną: przegon codzienny byłaby przez daną łąkę. Albo też i działania różnorodne, związane w jedną całość przez normę.

Stosunek człowieka do otaczającego środowiska może być wyznaczony przez normy dwojako. Jest wyznaczony, że tak powiem, *analitycznie*, jeśli dane mu są fragmentaryczne, nietrwałe, oddziaływania na poszczególne rzeczy środowiska. Oto, powiedzmy, ma jednorazowy przegon przez dane pole; oto może raz w roku wydoić daną krowę. *W* takim układzie rzeczy niema ścisłego i stałego

związania człowieka ze środowiskiem. Członek społeczności cienkimi nićmi związany jest z poszczególnymi rzeczami; rzecz przejściowo czy zgoła przelotnie związana jest z daną poszczególną osobą. — Ale stosunek człowieka do środowiska może też być wyznaczony syntetycznie. Wiele oddziaływań na daną rzecz może być scalone w rękach jednego człowieka. Granicznym przypadkiem tego scalenia jest prawo własności, gdy obejmuje wszelkie możliwe, dowolne, oddziaływania na rzecz i jest absolutnem władztwem nad rzeczą. W praktyce władztwo to jest zazwyczaj ograniczone ze względu na interesy innych ludzi. Nie można manipulować swoją rzeczą w sposób, któryby przynosił szkodę innym ludziom. Te oddziaływania, zakazane właścicielowi, nie są dozwolone nikomu innemu.

Ten zakaz, pozbawiający właściciela oddziaływania na jego rzecz w pewnym kierunku, należy wyraźnie odróżnić od rozdzielania całokształtu możliwych oddziaływań na daną rzecz pomiędzy dwie osoby. Ograniczenie (administracyjne) prawa własności polega na tem, że normodawca prosto odcina od splotu działań, możliwych na danej rzeczy, pewne działanie czy też działania pewnego rodzaju, i nie ofiaruje tej możliwości nikomu. Norma unieścawia, że tak powiem, zakazaną możliwość działania, jak cięcie sekatora odcina gałąź od drzewa. Inaczej dzieje się wówczas, gdy możliwe oddziaływania zostają rozdzielone pomiędzy dwie osoby. Niechaj mocą normy jednej osobie, *A*, będzie dana możliwość zerwania z danego drzewa wszystkich jabłek prócz jednego; niechaj jednocześnie drugiej, *B*, będzie przydzielona możność zerwania tego jedyne go, pozostałego, jabłka. Niechaj, poza tem, zresztą wszelkie możliwe działania na to drzewo będą oddane naszemu *A*. Powstaje pytanie, czy *A* będzie tu właścicielem. Jego sytuacja przypomina bardzo to, co nazywamy prawem własności, przez szeroki zaąg uprawnionych na rzecz daną oddziaływań. Ale różni się ona od własności: obok niej na tem samym drzewie istnieje inne prawo, wyznaczone również mocą samej normy, a więc równie, jak ona, pierwotne i od niej niezależne prawo zerwania jednego jabłka. Ten rezerwat działania odróżnia sytuację *A* od sytuacji właściciela. W tradycyjnem bowiem rozumieniu prawa własności jest dlań swoiste właśnie to, że nie może z niem współistnieć na danej rzeczy żadne inne, od niego niezależne i nie pochodne, prawo rzeczowe. Prawo własności obejmuje wszelkie oddziaływania na rzecz, prócz wogóle zabronionych. Tem samem, istniejąc w całej swej rozciągłości, nie dopuszcza oddziaływania bezpośrednio na rzecz żadnej innej osoby. Aby ktoś inny mógł na nią bezpośrednio oddziaływać, trzeba, iżby właściciel odstąpił mu część swoich oddzia-

ływań. Gdzie tedy istnieje własność, wszelkie częściowe prawo rzeczowe może powstać tylko drogą rezygnacji właściciela, czyli, innymi słowy, musi być w stosunku do prawa własności pochodne.

Ta rezygnacja właściciela różny może mieć zasięg i termin. Może oddawać pewien sposób oddziaływania na rzecz na ściśle określony odcinek czasu: właściciel łąki daje sąsiadowi wyłączny wygon bydła na miesiąc. Zrezygnował z pewnej porcji oddziaływań; ale jasne jest odrazu, że nie zlikwidował swego stosunku do łąki. Za miesiąc znowu powróci do całkowitego władania rzeczą. Inaczej będzie, jeśli ustanowi prawo wygonu bezterminowo i nieodwołalnie. Zasięg prawa własności zacieśnił się tu definitywnie. Sfera możliwych i dozwolonych oddziaływań na daną rzecz rozdzieliła się na dwie sfery o nierównym zasięgu: na eksploataowaniu łąki przez jedenaście miesięcy i na eksploataowanie przez miesiąc. To drugie jest teraz tak samo „wieczne”, jak pierwsze. Ale drugie różni się zasadniczo od pierwszego: jest od niego pochodne, powstało z niego drogą rezygnacji. I ten wtórny, pochodny, jego charakter nie zmieniłby się w niczem, gdyby rozdział eksploatacji łąki oddawał ją na czas dłuższy temu drugiemu prawu.

Rozważania prawnicze, poświęcone bezpośrednio oddziaływaniu na rzeczy, jednostronnie zatrzymują uwagę na sytuacjach, zwanych uprawnieniami. Analizuje się więc prawo własności i różne na niem oparte prawa rzeczowe; nie dostrzega się natomiast rzeczy niezmiernie ważnej dla struktury ładu społecznego, a mianowicie tego, że bezpośrednie oddziaływanie na rzeczy może być lub, co najmniej, mogłoby być oddane członkom grupy nie w postaci uprawnień, lecz obowiązków. Można zupełnie dobrze pomyśleć sobie taki ład prawny, iż w nim nie byłoby prawa własności, lecz obowiązek własności; iż nie byłoby w nim prawa użytkowania, lecz obowiązek użytkowania. Dla takiego ładu można skonstruować niesprzeczne wewnątrznie i życiowo prawdopodobne założenia gospodarcze. W takim układzie rzeczy na pierwszy plan analizy wysunęłyby się obowiązki rzeczowe zamiast praw rzeczowych. Okazałoby się przy tem, że podział sytuacji prawnych na sytuacje rzeczowe i na sytuacje personalne jest ważniejszy społecznie i gospodarczo, niż podział tradycyjny sytuacji na uprawnienia i zobowiązania.

Ale analiza tych sytuacji jest w prawoznawstwie bardzo schematyczna i powierzchowna: nie dociera nawet do rozróżnień, które mają podstawowe znaczenie dla rozumienia ładu prawnego. Między innymi niema jasności nawet co do tego, gdzie przebiega linja graniczna pomiędzy prawem rzeczowym, a roszczeniem. Ściśle

biorąc, prawo rzeczowe sięga tylko tak daleko, jak bezpośrednie na rzecz oddziaływanie: to założyliśmy w definicji. Atoli prawoznawstwo mówi o prawach rzeczowych i tam, gdzie niema już nawet pozoru oddziaływania bezpośredniego. Na szeregu odpowiednio dobranych przypadków łatwo będzie ustalić ową linię graniczną.

1. Niechaj *A* ma prawo zebrania owoców z jednego drzewa w ogrodzie *B*. Oddziaływanie *A* na rzecz (drzewo) jest wyraźnie bezpośrednio i w granicach, wyznaczonych przez normę, z pewnością możliwe. Nie jest ono zależne od ilości owoców na drzewie. Obfitość owoców wpływa tylko na gospodarczą wartość przyznanego naszemu *A* uprawnienia, nie zaś na jego charakter prawny. Nawet w granicznym przypadku, gdy mróz zważy wszystkie kwiaty i gdy owocu wcale nie będzie, istota uprawnienia się nie zmieni: *A*. ma prawo zerwać wszystkie owoce, o ile będą.

2. *A* ma prawo do zebrania z jabłoni jednego korca jabłek. O możliwości zrealizowania tego prawa decyduje już urodzaj. Jeśli ilość jabłek na danym drzewie nie dosięga korca, to rama prawna, którą stwarza norma, wystaje poza parcelę rzeczywistości, jaką ma obejmować. Prawo naszego *A* tylko do wysokości rzeczywistego zbioru jabłek jest naprawdę prawem rzeczowym, ta bowiem rzeczywista ilość owoców jest granicą możliwego oddziaływania bezpośredniego. Poza tę ilość uprawnienie naszego *A* jest fikcją, podobnie jak fikcją byłoby prawo wejścia na dziesiąty szczebel drabiny, która ma ogółem sześć stopni.

3. *A* ma otrzymać od *B* cały zbiór jabłek z danego drzewa. Niema tu już bezpośredniego oddziaływania na rzecz: zerwie jabłko nie *A*, lecz *B*, i zerwane, a więc już oddzielone od jabłoni, dostarczy *A*. *A* związany jest tylko pośrednio z ową jabłonią: jedynie przez to, że ściśle wyznaczone jest, skąd mają pochodzić owoce. Istnienie tego drzewa i jego wydajność są materialną gwarancją tego, że *B* będzie mógł dokonać tego świadczenia, które przewiduje norma.

4. *A* ma otrzymać od *B* bezwzględnie wyznaczony wymiar jabłek, z danej jabłoni. I tutaj niema już śladu oddziaływania bezpośredniego. Co więcej, w przypadku małego zbioru jabłek, niema tu nawet dostatecznej gwarancji rzeczowej w jabłoni na to, iż wyznaczony wymiar znajdzie się w rozporządzeniu naszego *B* i że *B* będzie mógł zeń pokryć swe zobowiązanie wobec *A*.

Wszystkie te przypadki zalicza tradycyjnie prawoznawstwo do praw rzeczowych. W myśl przyjętej tu definicji: niesłusznie. Tylko w dwóch pierwszych przypadkach wyznaczone jest oddziaływanie bezpośrednie na przedmiot uprawnienia. W dwóch pozostałych

uprawnienie wyraźnie nie jest rzeczowe: uprawniony ma tylko roszczenie do świadczenia. Rzeczowy charakter ma tu zobowiązanie naszego β , któremu norma wyznacza określone dokładnie działanie na dokładnie wskazanej rzeczy. I jeśli jest zasada, iżby całość sytuacji takiej nazwać rzeczową, to spoczywa ona nie w sytuacji, jaką ma A , lecz w sytuacji, jaką ma B . Nie dostrzega tego tradycyjna analiza, która nie widzi rzeczowych zobowiązań obok praw rzeczowych.

Instytucja zastawu dobrze ilustruje tradycyjne braki analizy uprawnień rzeczowych. Prawo zastawu w jednej swej postaci jest prawem rzeczowym, niewątpliwie; mianowicie wtedy, gdy zastawca ma rzecz zastawioną w swoich rękach i sam ją może sprzedać dla pokrycia swej wierzytelności. Ubogie w treść jest jego prawo. Negatywnie, wyraża się w tem, że posiadacz zastawu może nie dopuszczać do oddziaływania na rzecz zastawioną. Ma tedy, by tak rzec, prawo z a m k n i ę c i a . Pozytywnie ujawnia się ono w jedynym uprawnieniu posiadacza do bezpośredniego oddziaływania, a mianowicie do sprzedaży tej rzeczy. W czasie trwania zastawu ulega radykalnej redukcji możliwość wykorzystania rzeczy. Wszystkie z nią bezpośrednie kontakty zostają przerwane. Rzecz zastawiona powleczone zostaje pokrowcem nieużywalności. — W drugiej swej postaci prawo zastawu nie jest już prawem rzeczowym. Polega tu ono jedynie na tem, że rzecz zastawiona będzie wystawiona na sprzedaż, jeśli wierzytelność uprawnionego nie zostanie spłacona w należnym terminie. Uprawniony nie ma rzeczy w swem władaniu bezpośrednim i nie do niego należy jej sprzedaż. Sprzedaż jest aktem, którego dokonanie jest tu o b o w i ą z k i e m r z e c z o w y m w ł a d z e g z e k u c y j n y c h . One tylko mają sytuację rzeczową wobec rzeczy, obłożonej zastawem. Uprawniony do zastawu, albo lepiej: zabezpieczonego zastawem, ma tu tylko gwarancję, że jego roszczenie będzie zaspokojone ze sprzedaży danej rzeczy. Na tem jedynie polega jego związanie z rzeczą i pozór sytuacji rzeczowej. Ale i ta gwarancja zmienia swój charakter, jeśli jedna rzecz jest obciążona kilkoma zastawami, ułożonemi według porządku pierwszeństwa. Prawa zastawu z dalszemi numerami porządkowemi mogą przy pewnej sytuacji gospodarczej redukować się do tego, iż uprawnieni będą mogli spowodować sprzedaż, z której sami nic nie osiągną: z prawa bezpośredniego oddziaływania na rzecz nie pozostał tu nawet ślad najmniejszy w tem czysto proceduralnem i, mimowoli, bezinteresownem uprawnieniu.